

Poul Anderson

Kyrie

Przełożyła Dorota Lutecka

Na jednym z wysokich szczytów w Karpatach Księżycowych stoi klasztor pod wezwaniem św. Marty z Betanii. Jego ściany zbudowane są z tutejszego kamienia; ciemne i strzeliste jak zbocze góry wznoszą się ku wiecznie czarnemu niebu. Jeśli podejdziecie tam od strony Bieguna Północnego, przemykając się nisko, by pole ochronne Szlaku Platona osłaniało was od meteorytowego opadu, ujrzycie, jak wieńczący szczyt wieży krzyż sterczy w przeciwną stronę do niebieskiego krążka Ziemi. Nie dobiega stamtąd dźwięk dzwonów – brak tu powietrza.

Możecie usłyszeć je w godzinach kanonicznych wewnątrz klasztoru i w położonych niżej kryptach, gdzie maszyny trdują się nad utrzymaniem warunków przypominających środowisko ziemskie. Jeśli zabawicie tam chwilę dłużej, usłyszycie, jak dzwony wzywają na mszę żałobną. Stało się już tradycją, że u św. Marty odprawia się modły w intencji tych, którzy zaginęli w Kosmosie. Z każdym mijającym rokiem jest ich coraz więcej.

Nie zajmują się tym siostry. Służą chorym, potrzebującym, kalekim, obłąkanym – tym wszystkim, których Kosmos zmiażdżył i odrzucił. Pełno jest ich na Lunie; jedni z wygnańców nie mogą już znieść ziemskiego ciężenia, co do innych obawiano się, że są nosicielami zarazy z jakiejś nieznannej planety, jeszcze inni znaleźli się tu dlatego, że ludzie zbyt są zajęci przesuwaniem granic własnego panowania, by tracić czas na swe porażki. Siostry noszą skafandry kosmiczne i podręczne apteczki równie często jak habity i różańce.

Dano im jednak trochę czasu na kontemplację. W nocy, gdy słoneczny blask gaśnie na dwa tygodnie, okiennice w kaplicy są rozwarte i gwiazdy przyglądają się przez głasytową kopułę płomieniom świec. Nie mrugają, a ich światło jest lodowato zimne. Zwłaszcza jedna z mniszek przychodzi tu tak często, jak tylko może, modląc się o spokój dusz swych bliskich. Przeorysza dopatrzy zawsze, by mogła być obecna, gdy rokrocznie odprawiana jest msza, którą zamówiła, nim złożyła śluby zakonne.

Requiem aeternam dona eis,

Domine, et lux perpetua luceat eis.

Kyrie eleison,

Christe eleison,

Kyrie eleison.

W skład ekspedycji do Supernova Sagittarii wchodziło pięćdziesiąt istot ludzkich i płomień. Wyprawa przebyła długą drogę z orbity okołozemskiej, zatrzymując się na Epsilon Lyrae, by zabrać swego ostatniego członka. Od tego miejsca zbliżała się do swego celu etapami.

Oto paradoks: czas jest aspektem przestrzeni, a przestrzeń – czasu. Wybuch nastąpił kilkaset lat wcześniej, nim ujrzeli go na Lasthope ludzie, którzy brali udział w trwającym całe pokolenia programie badań cywilizacji istot całkowicie różniących się od nas; pewnej nocy unieśli oczy i ujrzeli światło tak jasne, że rzucało cienie.

Po paru stuleciach od tej chwili czoło fali świetlnej osiągnęłoby Ziemię. Byłaby wtedy tak znikoma, że na niebie rozblęsnęłyby tylko jeszcze jeden jasny punkt. Jednakże przez ten czas statek przeskakujący ponad przestrzenią, przez którą musiało się wlec światło, mógłby wysledzić rozciągniętą w czasie śmierć wielkiej gwiazdy.

Przyrządy zapisały ze stosownej odległości to, co wydarzyło się przed wybuchem: kolapsująca ognista masa, gdy wypaliły się już ostatki jądrowego paliwa. Jeden skok i ujrzą to, co wydarzyło się stulecie temu: skurcz, burza kwantów i neutronów, promieniowanie równe temu, jakie wydzieliłaby połączona masa stu miliardów słońc tej galaktyki.

Promieniowanie zanikło zostawiając po sobie pustkę w przestworzach, a *Kruk* przysunął się bliżej. Pokonawszy pięćdziesiąt lat świetlnych – pięćdziesiąt lat! – badał kurczący się żar w środku mgły, która świeciła jak błyskawica.

Dwadzieścia pięć lat świetlnych później główna kula zmaląła jeszcze bardziej, mgławica rozszerzyła się i przygasła. Ale teraz odległość była o wiele mniejsza, więc wszystko wydawało się większe i jaśniejsze. Gwiazdozbiory bladły w porównaniu z oślepiającym żarem, na który nie sposób było patrzeć gołym okiem. Teleskopy ukazywały niebiesko-białą iskrę w sercu delikatnie postrzępionej na brzegach, opalizującej chmury.

Kruk przygotowywał się do ostatniego skoku w bezpośrednie sąsiedztwo Supernowej.

Kapitan Teodor Szili przeprowadzał swój ostatni krótki obchód. Statek pomrukiwał wokół niego, pędząc z przyspieszeniem 1 g, by osiągnąć wymaganą wewnętrzną prędkość. Buczały silniki, poćwierkiwały urządzenia kontrolne, szumiały wentylatory. Kapitan czuł rozpierającą go moc. Otaczał go jednak obojętny i chłodny metal. Przez iluminatory widać było miriady gwiazd, upiorny łuk Drogi Mlecznej; poza tym próżnia, promieniowanie kosmiczne, zimno bliskie zeru absolutnemu, niewyobrażalna odległość od najbliższego ludzkiego ogniska. Miał zabrać swoich ludzi tam, gdzie nikt przedtem nie dotarł, w środowisko, o którym nikt nie mógł nic pewnego powiedzieć, i ciążyło mu to ogromnie.

Zastał Eloise Waggoner na posterunku, w klitce bezpośrednio połączonej interkomem z mostkiem dowódcy. Przyciągnęła go muzyka; kaskada tryumfujących i pogodnych dźwięków,

których nie rozpoznał. Stojąc w przejściu ujrzał, jak Eloise siedzi przed małym magnetofonem na biurku.

– Co to jest? – zapytał.

– Och! – kobieta (nie mógł o niej myśleć jako o dziewczynie, choć jeszcze niedawno była nastolatką) wzdrygnęła się. – Ja... czekałam na skok.

– Należy czekać w stanie gotowości.

– Cóż mam robić? – odpowiedziała mniej bojaźliwie niż zazwyczaj. – Nie obsługuję statku i nie jestem naukowcem.

– Jesteś członkiem załogi, jako technik łączności specjalnej.

– Z Lucyferem. A on lubi muzykę. Twierdzi, że dzięki niej bliżsi jesteśmy utożsamienia niż dzięki czemukolwiek, co jest mu o nas wiadome.

Szili uniósł brwi. – Utożsamienia?

Rumieniec napłynął na wąskie policzki Eloise. Utkwiła wzrok w podłodze i miała dłonie. – Może to nie jest dobre słowo. Pokój, harmonia, jedność... Bóg?... Czuję, o co mu chodzi, ale nie mamy odpowiedniego słowa.

– Hm. Cóż, uszczęśliwianie go należy do twoich obowiązków. – Kapitan przyjrzał się jej, usiłując stłumić powracające uczucie obrzydzenia. Domyślał się, że na swój niezręczny i ograniczony sposób była dobrą dziewczyną, ale jej wygląd! Koścista, wielkie stopy, duży nos, wylupiaсте oczy, grube i tłuste włosy koloru pyłu; no i, szczerze mówiąc, telepaci zawsze wprawiali go w zakłopotanie. Twierdziła, że potrafi czytać tylko w myślach Lucyfera, ale jak było naprawdę?

Nie. Nie myśl tak. Nawet bez podejrzeń wobec własnych ludzi osamotnienie i odmienność może cię tu doprowadzić na skraj załamania nerwowego.

Jeśli Eloise Waggoner jest naprawdę człowiekiem. Musi być co najmniej jakimś mutantem; każdy kto potrafi porozumiewać się w myśli z ożywionym wirem, jest pewnie czymś takim.

– A więc co grałaś?

– Bacha. Trzeci Koncert Brandenburski. Jemu, to znaczy Lucyferowi, nie podobają się te nowoczesne kawałki. Mnie także.

No pewnie, zdecydował Szili. Na głos zaś powiedział: – Słuchaj, startujemy za pół godziny. Nie wiadomo, gdzie trafimy. Po raz pierwszy ktoś znajdzie się tak blisko niedawnej Supernovej. Mamy tylko tę pewność, że nie przeżyjemy dawki twardego promieniowania, jeśli wysiądą nasze pola ochronne. Poza tym jest tylko teoria. A że kolaps jądra gwiazdowego jest we wszechświecie czymś jedynym w swoim rodzaju, więc powątpiewam w trafność teorii. Nie możemy siedzieć i śnić na jawie. Musimy się przygotować.

– Tak, kapitanie. – Gdy szeptała, jej głos tracił zwykłą chropawość.

Wpatrzył się w punkt gdzieś poza nią, poza obsydianowymi oczami liczników i przyrządów

kontrolnych, tak jakby mógł przeniknąć przez otaczającą go stal i spojrzeć prosto w Kosmos. Wiedział, że tam szybuje Lucyfer.

Jego obraz narastał mu przed oczyma: ognista kula o średnicy dwudziestu metrów, lśniąca bielą, czerwienią, złotem, błękitem; płomienie tańczące jak sploty włosów Meduzy, z tyłu płonący, kilkusetmetrowy ogon komety, jasność, chwała, cząstka piekła. Myśl o tym, co postępowало w ślad za jego statkiem, nie była najmniejszą z jego trosk.

Uczepił się kurzowo naukowych wyjaśnień, choć nie były o wiele lepsze niż domysły. W wielokrotnym systemie gwiazdnym Epsilon Aurigae, w wypełniającym przestrzeń gazie i energii zachodziły reakcje, których nie sposób odtworzyć w laboratorium. Piorun kulisty na planecie byłby tu odpowiednikiem, tak jak prosty organiczny związek chemiczny jest odpowiednikiem życia, które w końcu się rozwinęło. W systemie Epsilon Aurigae magnetohydrodynamika dokonała tego, co uczyniła na Ziemi chemia. Pojawiły się stabilne wiry plazmy, rosły, osiągały złożoność, aż po milionach lat zyskały postać czegoś, co trzeba określić jako organizm. Była to istota zbudowana z jonów, nukleonów i pól siłowych. Jej metabolizm oparty był na elektronach, nukleonach i promieniowaniu rentgenowskim; zachowywała swój kształt przez długi okres życia, rozmnażała się, myślała.

Ale co myślała? Ci nieliczni telepaci, którzy mogli porozumiewać się z Aurigejczykami i którzy pierwsi uświadomili ludzkości ich obecność, nigdy nie wytłumaczyli tego jasno. Sami byli wystarczająco dziwaczni.

I dlatego kapitan Szili powiedział: – Chcę, żebyś mu to przekazała.

– Tak, kapitanie – Eloise ściszyła magnetofon. Jej oczy rozszerzyły się. Przez uszy przepływały słowa, a mózg (jak skuteczny był to przetwornik?) przekazywał je dalej, do tego, który polatywał obok *Kruka* dzięki własnemu napędowi odrzutowemu.

– Uwważaj Lucyferze. Słyszałeś to wszystko przedtem, ale chcę się upewnić, że wszystko rozumiesz. Twoja psychika jest zupełnie inna niż nasza. Dlaczego zgodziłeś się polecieć z nami? Ja tego nie wiem. Technik Waggoner twierdzi, że jesteś ciekawy i żądny przygód. Czy to cała prawda?

Nieważne. Ruszamy za pół godziny. Przelecimy przez obszar odległy od Supernowej o pięć milionów kilometrów. Tam zaczyna się twoje zadanie. Możesz dotrzeć tam, gdzie my się nie odważymy, zobaczyć to, czego my nie możemy, powiedzieć nam więcej, niż nasze instrumenty kiedykolwiek mogłyby wskazać. Ale najpierw musimy stwierdzić, czy w ogóle możemy stanąć na orbicie wokół gwiazdy. To dotyczy także ciebie: martwi ludzie nie będą mogli zabrać cię z powrotem do domu.

Więc tak. Aby objąć cię hiperpolem i nie zniszczyć przy tym twego ciała, musimy wyłączyć ekrany ochronne. Wskoczymy w strefie śmiertelnego promieniowania. Musisz natychmiast odsunąć się od statku, ponieważ włączymy generator ekranu sześćdziesiąt sekund po skoku.

Zagrożenia, których należy się spodziewać, to... – Szili wyliczył je. – To tylko te, które potrafimy przewidzieć. Może wpadniemy w takie śmiecie, o których nie pomyśleliśmy w ogóle. Jeśli cokolwiek będzie wyglądało na niebezpieczeństwo, wracaj natychmiast, ostrzeż nas i przygotuj się do skoku powrotnego. Zrozumiałeś? Powtórz!

Słowa toczyły się z ust Eloise. Powtórzyła wszystko poprawnie, ale ile przemilczała?

– Bardzo dobrze. – Szili zawahał się. – Jeśli chcesz, nadawaj dalej swój koncert. Ale przerwij go o czasie zero minus dziesięć minut. Od tej chwili obowiązuje stan gotowości.

– Tak, kapitanie. – Nie spojrzała na niego. Wydawało się, że nigdzie nie patrzy.

Jego kroki zastukały na korytarzu i ucichły.

– Dlaczego wciąż powtarza to samo? – zapytał Lucyfer.

– Boi się – odpowiedziała Eloise.

– ?

– Ty chyba nie znasz strachu – powiedziała.

– Możesz mi pokazać?... Nie, nie rób tego. Czuję, że to zadaje ból. Nie trzeba, żeby cię bolało.

– I tak nie mogę się bać, gdy twoje myśli wspierają moje. (Wypełniło ją ciepło. Była w tym radość, płomyki płasające nad

Ojcem-prowadzącym-ją-za-rękę-pewnego-letniego-dnia-gdy-była-dziec-kiem-i-poszli-zry-wać-polne-kwiaty; płomyki nad mocą, łagodnością, Bachem i Bogiem). Lucyfer zakreślił wokół kadłuba szeroki łuk po zawadiackiej krzywej. Iskry tańczyły jego śladem.

– Myśl jeszcze kwiaty. Proszę. Spróbowała.

– One są (jak obraz, na tyle wyraźny, na ile to możliwe dla ludzkiego umysłu, fontann zakwitających w kolorze promieni gamma w przestrzeni światła, wszędzie światło). Ale są tak kruche. Tak przelotna słodycz.

– Nie rozumiem, jak ty możesz rozumieć – wyszeptwała.

– Ty za mnie rozumiesz. Nie mogłem kochać tych rzeczy, póki się nie pojawiłaś.

– Ale miałeś tyle innych. Próbuję je odczuć, ale nie zostałam stworzona do tego, by zrozumieć, co to jest gwiazda.

– Ani ja, by zrozumieć, co to jest planeta. Ale możemy się dotykać. Znów zapłonęły jej policzki. Myśl potoczyła się, przeplatając się kontrapunktowo z marszową muzyką: – To dlatego przybyłem, wiesz? Dla ciebie. Jestem powietrzem i ogniem, nie zaznałem chłodu wody i trwałości ziemi, póki mi tego nie objawiłaś. Jesteś blaskiem księżycyca ponad oceanem.

– Nie – powiedziała. – Proszę, nie.

Zdziwienie. – Dlaczego? Czy radość boli? Nie przywykłaś do niej?

– Ja... sądzę, że tak – odrzuciła głowę do tyłu. – Nie! Niech mnie diabli, jeśli mam się nad

sobą użalać!

– Dlaczego miałabyś się użalać? Czyż nie mamy dla siebie całego świata? Czyż nie jest on pełen słońc i pieśni?

– Tak. Dla ciebie. Naucz mnie.

– Jeśli ty w zamian nauczysz mnie... – myśl urwała się. Pozostał bezsłowny kontakt, do jakiego – tak sobie wyobrażała – dochodzi często między kochankami.

Spojrzała groźnie na czekoladową twarz fizyka Motilala Mazundara, który stał w drzwiach. – Czego pan chce?

Zaskoczyło go to. – Tylko zobaczyć, czy wszystko u pani w porządku, pani Waggoner.

Zacisnęła wargi. Bardziej niż ktokolwiek na statku starał się być dla niej miły. – Przepraszam – powiedziała. – Niepotrzebnie na pana warknęłam. Nerwy.

– Wszyscy jesteśmy u kresu wytrzymałości – uśmiechnął się. – To podniecające przedsięwzięcie, ale dobrze byłoby wrócić do domu, prawda?

Dom, pomyślała. Cztery ściany mieszkania nad hałaśliwą miejską ulicą. Książki i telewizja. Może przedstawi referat na najbliższej sesji naukowej, ale nikt nie zaprosi jej później na przyjęcie.

Czy jestem taka okropna, zastanawiała się. Wiem, że nie odznaczam się urodą, ale staram się być miła i interesująca. Może staram się za bardzo.

– Nie ze mną – odezwał się Lucyfer.

– Ty jesteś inny – odparła. Mazundar zamrugął. – Co proszę?

– Nic – odpowiedziała pośpiesznie. Zastanawiam się nad jedną sprawą – powiedział Mazundar usiłując podtrzymać rozmowę. – Zakładamy, że Lucyfer podejdzie bardzo blisko do Supernovej. Czy będzie pani mogła wciąż utrzymywać z nim kontakt? Efekt rozciągnięcia czasu – czy to za bardzo nie zmieni częstotliwości fal jego myśli?

– Jakie rozciągnięcie czasu? – wydusiła z siebie uśmieszek. – Nie jestem fizykiem, tylko skromną bibliotekarką, która, jak się okazało, posiada niespotykane zdolności.

– Nie powiedziano pani? Cóż, myślałam, że wszyscy wiedzą. Silne pole grawitacyjne wpływa na czas tak samo jak ogromna prędkość. Mówiąc z grubsza, wszystkie procesy zachodzą wolniej niż w normalnej przestrzeni. To dlatego światło z gwiazdy masywnej jest nieco poczerwieniałe. A masa jądra naszej Supernovej równa się masie trzech słońc. Co więcej, osiągnęło taką gęstość, że siła przyciągania na powierzchni jest... cóż, jest niewiarygodnie wysoka. Dlatego według naszych zegarów jądro będzie się zbiegać do promienia Schwarzschilda nieskończenie długo, ale dla obserwatora na powierzchni gwiazdy cały proces kurczenia zająłby tylko krótki okres czasu.

– Promień Schwarzschilda? Zechce pan to wyjaśnić. – Eloise uświadomiła sobie, że przemówił przez nią Lucyfer.

– Jeśli mi się to uda bez matematyki. Widzi pani, ta masa, którą mamy zbadać, jest tak wielka i skoncentrowana, że żadna siła nie przewyższa grawitacji. Nic tu nie stanowi przeciwwagi. Cały proces będzie zatem trwał aż do chwili, w której żadna energia nie będzie w stanie uciec. Wtedy gwiazda zniknie z wszechświata. W rzeczywistości, ujmując rzecz teoretycznie, kurczenie się będzie przebiegać aż do punktu zero. Oczywiście, jak już powiedziałem, z naszego punktu widzenia będzie to trwało wiecznie. Przy tym ta teoria pomija kwestie mechaniki kwantowej, które zaczynają odgrywać rolę w fazie końcowej. Te sprawy nie są jeszcze dobrze rozumiane. Mam nadzieję, że ekspedycja poszerzy naszą wiedzę. – Mazundar wzruszył ramionami. – W każdym razie pani Waggoner, zastanawiałem się, czy nieuchronna zmiana częstotliwości nie przeszkodzi naszemu przyjacielowi porozumiewać się z nami, gdy znajdzie się w pobliżu gwiazdy.

– Wątpię. – Wciąż mówił Lucyfer: była jego narzędziem i nigdy dotąd nie wiedziała, jak dobrze jest wtedy, gdy posługuje się nią ktoś, kto się o nią troszczy. – Telepatia nie jest zjawiskiem falowym. Nie może nim być, skoro przekaz następuje natychmiast. Nie jest też ograniczona przez odległość. Ma raczej charakter rezonansu. My oboje, będąc dostrojeni do siebie, możemy porozumiewać się przez całą rozpiętość Kosmosu i nie znam żadnego zjawiska, które mogłoby w tym przeszkodzić.

– Rozumiem – Mazundar obdarzył ją przeciągłym spojrzeniem. – Dziękuję – powiedział zakłopotany. – Hm... muszę wracać na swoje stanowisko. Powodzenia. – Wymknął się pośpiesznie, nie czekając na odpowiedź.

Eloise nie zwróciła na to uwagi. Jej umysł stawał się jak pochodnia i pieśń. – Lucyferze! – krzyknęła na głos. – Czy to prawda?

– Tak sędzę. My wszyscy jesteśmy telepatami, więc poznaliśmy te sprawy lepiej niż wy. Nasze doświadczenie pozwala nam sądzić, że nie ma tu granic.

– Możesz zawsze być ze mną? Będziesz?

– Jeśli zechcesz, będzie mi bardzo miło.

Jądro komety przebiegło po krzywej i zatańczyło; płomienisty mózg zaśmiał się cicho. – Tak, Eloise, bardzo chciałbym pozostać przy tobie. Jak nikt nigdy – Radość. Radość. Radość.

Lucyferze, nie wiedzieli nawet, jak trafnie cię nazwali, chciała powiedzieć i być może uczyniła to. Myśleli, że to żarty, myśleli, że dając ci miano diabła pomniejszą cię do bezpiecznych, własnych rozmiarów. Ale Lucyfer nie jest właściwą nazwą diabła. Lucyfer znaczy tyle, co Niosący Światłość. Jedna z łacińskich modlitw zwraca się nawet do Chrystusa jako do Lucyfera. Przebacz mi Boże, że nie mogę o tym zapomnieć. Masz to za złe? On nie jest chrześcijaninem, ale sędzę, że nie musi, sędzę, że nigdy nie zaznał grzechu. Lucyfer, Lucyfer.

Nadawała muzykę tak długo, jak jej na to zezwolono.

Statek skoczył. Jedna zmiana parametrów i przekroczył dwadzieścia pięć lat świetlnych

dzielących go od zniszczenia.

Każdy doświadczył tego na swój własny sposób, oprócz Eloise, która przeżywała to razem z Lucyferem.

Odczuła wstrząs i usłyszała śmiertelny jęk metalu, wciągnęła w płuca zapach ozonu i spalenizny i zwała się w nie kończące się opadanie – w nieważkość. Oszołomiona, grzebała przy interkomie. Słowa wydobywały się *i* trzaskiem: – ...wysadziło zespół... utrzymać pole elektromagnetyczne., skąd mam wiedzieć, jak naprawić to cholerne pudło?... alarm, alarm... – Wszędzie wyły syreny alarmowe.

Przerażenie narastało w niej póki nie uchwyciła się zawieszzonego na szyi krzyżyka, a także umysłu Lucyfera. Wtedy zaśmiała się, dumna z jego mocy.

Umknął od statku natychmiast po przybyciu. Teraz poruszał się po tej samej orbicie. Wszędzie wokół mgławica wypełniała przestrzeń burzliwą tęczą. Dla Lucyfera *Kruk* nie był metalowym cylindrem, jakim widziały go ludzkie oczy, lecz łagodnym blaskiem, ochronnym ekranem odbijającym całe widmo promieniowania. Dalej leżało jądro Supernowej, niewielkie z tej odległości, lecz rozpalone i świecące.

– Nie bój się (pieścił ją). Wszystko rozumiem. Turbulencja jest rozległa tak wcześnie po wybuchu. Wyłoniliśmy się na obszarze, gdzie plazma jest szczególnie gęsta. Zanim ponownie włączono pole ochronne, przez ten moment, w którym wasz główny generator nie był osłonięty, doszło do zwarcia na zewnątrz kadłuba. Ale jesteście bezpieczni. Możecie zabrać się do naprawy. A ja, ja jestem w oceanie energii. Nigdy nie czułem się tak pełen życia. Chodź, płyn wraz ze mną przez te fale.

Głos kapitana Szili dźgnął ją w plecy. – Waggoner! Powiedz temu Aurigejczykowi, by zabrał się do roboty. Zlokalizowaliśmy źródło promieniowania na orbicie zbieżnej; może być za silne dla naszych ekranów – podał parametry. – Co to jest?

Po raz pierwszy Eloise wyczuła u Lucyfera trwogę. Wziął zakręt i odbił zygzakiem od statku.

Wkrótce jego myśli dobiegły do niej równie wyraźnie jak przedtem. Zabrakło jej słów, by oddać straszliwą wspaniałość, którą ujrzała poprzez Lucyfera: kula zjonizowanego gazu o średnicy miliona kilometrów żarząca się błyskami i przeskokami wyładowań elektrycznych, które huczały we mgle wokół odsłoniętego jądra gwiazdy. W przestrzeni wokół panowała według prowincjonalnych ziemskich standardów próżnia, więc to coś nic mogło wydawać dźwięków, ale Eloise słyszała, jak grzmi i zaplują się wściekłością.

Lucyfer przemówił przez nią. – Masa wyrzuconej materii. Na skutek tarcia i bezwładności musiała utracić prędkość kątową. Wciągnęło ją na orbitę kometową, a utrzymuje spistość dzięki potencjałom wewnętrznym. Jakby słońce starało się dać życie planetom.

– To uderzy w nas, zanim zdążymy uruchomić silnik – powiedział Szili. – Przeciąży naszą

osłonę. Jeśli znasz jakąś modlitwę, módl się.

– Lucyferze! – zawołała. Nie chciała umrzeć, jeśli on miał ocaleć.

– ... sądzę, że potrafię odchylić jej tor – powiedział z zawziętością, jakiej dotychczas u niego nie spotkała. – Połączyć moje własne pola z polami kuli; wyzwolić energię i zaczerpnąć jej; niestabilna konfiguracja; tak, chyba mogę wam pomóc. Ale ty mi pomóż, Eloise. Walcz wraz ze mną.

Jego światłość ruszyła w kierunku monstualnego kształtu.

Czuła, jak chaotyczny elektromagnetyzm kuli wczepia się w elektromagnetyzm Lucyfera. Czuła, jak targa nim i miota. Był to jej ból. Walczył, by utrzymać własną spójność, i była to jej walka. Chmura gazowa i Aurigejczyk spleli się w uścisku. Kształtujące go siły chwytaly tak, jakby to były ramiona, tryskał mocą ze swego jądra holując wraz z sobą olbrzymią, rozżarzoną masę z biegiem spływającego od słońca magnetycznego potoku; połykał atomy i wyrzucał je z powrotem, póki płomień nie rozbryzgał się po niebie.

Siedziała w swojej kabinie i użyczała mu tyle woli życia i walki, ile mogła; do krwi rozbiła pięści o biurko.

Godziny boju przeminęły.

W końcu ledwie zdołała uchwycić wieść, którą błysnął wycieńczony Lucyfer: – Zwycięstwo.

– Twoje – załkała.

– Nasze.

Dzięki przyrządom ludzie widzieli, jak świecąca śmierć przechodzi obok nich. Nastroje się poprawiły.

– Wracaj – błagała Eloise.

– Nie mogę. Jestem zbyt wyczerpany. Złączyliśmy się – chmura i ja – i staczamy się w stronę gwiazdy. (Jakby zraniona dłoń wyciągnęła się ku niej by podnieść ją na duchu). Nie lękaj się o mnie. Gdy się zbliżymy, zaczerpnę świeżych sił z jej żaru, nowej materii z mgławicy. Będę potrzebował trochę czasu, by ruchem spiralnym przewyciężyć to przyciąganie. Ale jak mogłoby mi się nie udać? Wracam do ciebie, Eloise. Czekał na mnie. Odpoczywaj. Zaśnij.

Towarzysze ze statku zaprowadzili ją do ambulatorium pokładowego. Lucyfer słał jej sny o ognistych kwiatkach, radości i słońcach, które były jego domem.

Ale w końcu obudziła się krzycząc. Lekarz musiał dać jej silne środki uspokajające.

Nie rozumiał tak naprawdę, czym będzie starcie z czymś tak gwałtownym, z czymś, co może zwichrować samą przestrzeń i czas.

Jego szybkość wzrastała zatrważająco. Tak działo się wedle jego własnej miary; z *Kruka* widziano, jak opada przez parę dni. Zmieniły się własności materii. Nie był w stanie odepchnąć się na tyle silnie i szybko, by się ocalić.

Promieniowanie, nagie jądra atomowe, powstające, rozpadające się i znów powstające cząsteczki przenikały i huczały przez niego. Warstwa po warstwie odzierany był z ciała. Przed nim jak białe delirium, widniało jądro Supermowej. Gdy się zbliżał – kurczyło się, coraz mniejsze, coraz gęstsze, tak jasne, że słowo „jasność” straciło znaczenie. W końcu siły przyciągania chwyciły go mocno.

– Eloise! – krzyknął w agonii rozpadu. – Och, Eloise, pomóż mi! Gwiazda przełknęła go. Został rozciągnięty na nieskończoną długość, ściśnięty w nieskończenie mały punkt i wraz z nią zapadł się w niebyt.

Statek myszkował w bezpiecznej odległości. Wciąż jeszcze można się było wiele dowiedzieć.

Kapitan Szili odwiedził Eloise w ambulatorium. Odzyskiwała siły – fizyczne.

– Nazwałbym go człowiekiem – oświadczył, przekrzykując szum maszynierii. – Tylko, że to za mało. Nie byliśmy nawet z jego gatunku, a zginął, by nas ocalić.

Popatrzyła na niego oczyma tak suchymi, że wydawało się to nienaturalne. Ledwie mógł odczytać jej odpowiedź. – On jest człowiekiem. Czyż nie ma też nieśmiertelnej duszy?

– Cóż, no tak, jeśli wierzyć w istnienie duszy, tak, zgoda. Potrząsnęła głową. – Ale dlaczego nie może odejść na wieczne odpoczywanie?

Rozejrzał się w poszukiwaniu lekarza i stwierdził, że znajdują się sami w ciasnym, metalowym pomieszczeniu.

– Co masz na myśli? – Zmusił się, by poklepać ją po ręce. – Wiem, że to był twój dobry przyjaciel. Ale musiała to być łagodna śmierć. Szybka, czysta. Sam nie miałbym nic przeciw temu, by odejść w ten sposób.

– Dla niego... tak, tak myślę. Tak musi być. Ale... – nie była w stanie mówić dalej. Nagle zakryła sobie uszy. – Przestań! Proszę!

Szili powiedział coś uspokajającego i wyszedł. Na korytarzu spotkał Mazundara.

– Jak się czuje? – zapytał fizyk.

Kapitan nachmurzył się. – Niedobrze. Mam nadzieję, że nie załamie się zupełnie, póki nie będziemy mogli przekazać jej psychiatrze.

– Dlaczego, coś jest nie w porządku?

– Ona myśli, że nadal go słyszy.

Mazundar uderzył pięścią w rozwartą dłoń. – Miałem nadzieję, że tak się nie stanie – westchnął.

Szili zebrał się w sobie i czekał.

– Słyszysz – powiedział Mazundar. – Oczywiście, że słyszysz.

– Ale to niemożliwe! On nie żyje!

– Proszę pamiętać o rozciągnięciu czasu – odparł Mazundar. – Spadł z nieba i zginął szybko, to prawda. Ale w czasie Supernowej. Innym niż nasz. Dla nas końcowy kolaps gwiazdny trwa nieskończenie długo lat. A odległość nie stawia granic telepatii. – Fizyk ruszył szybkim krokiem oddalając się od separatki. – On zawsze będzie przy niej.